

EDWARD SKIBIŃSKI
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Wydział Historii
ORCID: 0000-0002-3763-6817

*Primum legere, deinde philosophari*¹

Słowa kluczowe: rozumienie tekstu, argumenta ad personam, ideologia i historia

Keywords: understanding of the text, argumenta ad personam, ideology and history

Ocena różnego rodzaju polemik naukowych musi z konieczności opierać się na analizie tekstów tych polemik. Ten sam wymóg można postawić recenzjom. Recenzent czyta tekst recenzowany, a jego autor, jeśli chce odpowiedzieć, czyta tekst recenzji. Zadanie recenzenta jest jednak inne niż recenzowanego autora. Recenzent muzyczny nie musi być wirtuozem gry na jakimś instrumencie, recenzent teatralny nie musi być aktorem ani reżyserem, a recenzent literacki nie musi (niektórzy nawet uważają, że nie powinien) być pisarzem, czy poetą. Jednak to do zadania recenzenta należy ocena, z czym ma do czynienia.

Obfity materiał polemiczny jaki przesłali do Redakcji „Przeglądu Historycznego” niektórzy Autorzy podręcznika „Wprowadzenie do metodologii historii”, przerasta objętością moją wypowiedź recenzyjną. W związku z nią zabrali również głos Autorzy, o których wkładzie do podręcznika nie pisałem i nie napiszę.

Recenzent podręcznika ma za zadanie ocenić czy książka nadaje się na podręcznik, czy jej zawartość jest zgodna z tytułem. Każda recenzja jest ponadto tylko głosem w dyskusji nad książką i oczywiście nie może być traktowana jako ostatnie słowo na jej temat. Jeżeli jednak dyskusja ma być sensowna, to autorzy recenzowanej pracy powinni po pierwsze zapoznać się z recenzją, po drugie zastanowić się nad jej treścią i wskazać recenzentowi błędy w jego ocenie ich pracy. Moja recenzja zamieszczona w „Przeglądzie Historycznym” była recenzją negatywną. Wszystkie wskazane przeze mnie usterki są tym poważniejsze, że chodzi tu o podręcznik, z którego młodzież akademicka ma się uczyć. Powstaje zatem pytanie, czy pozostawiając ten podręcznik takim jaki jest, prowadzący zajęcia będą informować studentów o znajdujących się w nim błędach i usterekach, czy nie. Podręcznik w tej części, którą recenzowałem został przygotowany niedbale. Oczywiście wszyscy popełniają błędy, ale tu jest ich zbyt wiele.

Zasadniczy sens wszystkich reakcji na moją recenzję sprowadza się do podstawowej tezy. Pisanie negatywnych recenzji zostało uznane w najlepszym razie za coś niewłaściwego, w najgorszym – za działalność spiskową.

¹ Najpierw czytać, potem filozofować (tłum. Redakcji).

Przejdźmy teraz do poszczególnych głosów polemicznych. Ich rozpatrywanie rozpocznę od wypowiedzi Redaktorów podręcznika – Jana Pomorskiego i Ewy Domańskiej. Ich teksty otrzymałem w jednym pliku i dlatego ocenię oba głosy razem.

Zacznijmy od wypowiedzi Pomorskiego. W słowach kluczowych Autor wskazał między innymi dwa ważne dla jego tekstu pojęcia – „antymetodologizm”, „kultura akademicka”. Rozumiem, że jest to zarzut. Można by go tak zrozumieć, że każdy, kto wskazuje błędy i niedociągnięcia w podręczniku reprezentuje doktrynę antymetodologizmu i zachowuje się niekulturalnie. Jeśli metodologizm reprezentuje podręcznik, o którym tu mowa, wraz ze wszystkimi jego błędami (wskazanymi i niewskazanymi) to odpowiednio w antymetodologizm wpisywałby się zapewne podręcznik bez tych usterek. Zaś właściwe pisanie recenzji podręcznika metodologicznego musiałyby przyjmować formę laudacji.

Umiejętność czytania ze zrozumieniem, nawet negatywnych recenzji, jest warunkiem wstępnym podjęcia polemiki. Jan Pomorski pisze na wstępie o zaproszeniu ze strony „Redakcji „Przeglądu Historycznego” do udziału w dyskusji na temat, czym jest a czym nie jest (i czym mogłaby być) metodologia historii”. Zdanie to przesuwają dyskusję z podręcznika na zagadnienie ogólniejsze. Tymczasem żeby taką dyskusję podjąć najpierw trzeba poprawić dyskutowany tekst. Zmiana tematu jest chwytem erystycznym nie jedynym w tekstach, które nadesłali niektórzy Autorzy podręcznikowych haseł. Zmiana tematu jednak nie poprawi błędów.

Dalej Pomorski pisze tak:

Z oczywistych względów opublikowane w „Przeglądzie Historycznym” recenzje są dla nas ważne i to podwójnie: po pierwsze, to cenne *wywołane źródło historiograficzne*, ujawniające *explicite* „jak pracuje umysł historyka” (w tym przypadku konkretnie dwóch historyków: Dariusza Sikorskiego i Edwarda Skibińskiego; tekst Pawła Żmudzkiego to całkowicie inny gatunek wypowiedzi, do czego jeszcze nawiążę w stosownym momencie) w reakcji na rozmaite skojarzenia ze słowem *metodologia* (s. 400).

Recenzje nie są wywołanym źródłem historiograficznym, ponieważ są najpierw recenzjami. Oczywiście źródłem mogą się stać, pod warunkiem jednak, że zostaną przeczytane i zrozumiane. Nasze recenzje według Pomorskiego mają ujawniać jak pracuje umysł historyka, a właściwie tylko dwóch – trzeci bowiem historyk, Paweł Żmudzki, nie ujawnił Pomorskiemu jak pracuje jego umysł. Pomysł Pomorskiego żeby badać czyjś umysł na podstawie tekstu dwóch recenzji jest z pewnością ambitny i oryginalny. Wymagałby zapewne jednak jakichś specjalnych kompetencji psychologicznych. Zawodowy psycholog poświęca wiele godzin pracy, żeby ustalić jak pracuje czyjś umysł. Ponieważ dla tego rodzaju analiz potrzeba więcej wypowiedzi badanego, łatwiej jest badać jak pracuje umysł autorów większych tekstów. Pod tym względem łatwiejsze zadanie miałby ewentualny badacz umysłu Pomorskiego.

Warunkiem wstępnym dla tego rodzaju badań byłoby jednak zapoznanie się z tymi tekstami. Nawet krótsze teksty, jakimi są recenzje, trzeba najpierw przeczytać.

Jednocześnie ujęcie obszernych nawet recenzji jako „wypowiedzi w reakcji na rozmaite skojarzenia ze słowem metodologia” jest nadużyciem. Z natury recenzja odnosi się do pewnego tekstu, można by zatem podjąć pewnego rodzaju interpretację semantyczną pracy. Tu pierwszym jej zadaniem jest „rozaśnienie znaczeń dosłownych poszczególnych wyrazów, grup frazeologicznych i zdań”².

Swoją argumentację Pomorski rozwija dalej w następujący sposób: „Po drugie, **dla nauczających metodologii historii** te trzy recenzyjne *case studies* stwarzają świetną okazję, by przetestować w trakcie zajęć ze studentami historii, jak (nie) należy pracować z tekstem naszego podręcznika (s. 400)”. Otóż choć tekst Pawła Żmudzkiego nie ujawnia jak pracuje jego umysł, to jednak ma być przykładem, jak nie należy pracować z podręcznikiem. Zalicza się więc tego Recenzenta do grzeszników. Jak rozumiem nie należy wskazywać błędów, tylko podziwiać.

Tymczasem Pomorski kontynuuje:

W tych okolicznościach trudno nie skomentować jednak faktu, że praktycznie **wszyscy autorzy *Wprowadzenia* mają co najmniej kilkuletnie dydaktyczne doświadczenie z nauczaniem metodologii historii jako przedmiotu na studiach historycznych** (w przypadku obydwójga redaktorów naukowych nawet kilkudziesięcioletnie), **w przeciwieństwie do autorów recenzji**, którzy – o ile nam wiadomo – metodologii / teorii historii nie wykładają, co nie przeszkadza niektórym z nich pouczać nas w tej materii. Pomimo że redaktorzy *Wprowadzenia* sporo czytają na temat źródłownawstwa czy nauk pomocniczych historii, nigdy do głowy im nie przyszło, aby wypowiadać się publicznie, jak przedmioty te powinny być nauczane. Po prostu, mamy z Ewą Domańską świadomość pułapu swoich zawodowo-dydaktycznych kompetencji (s. 400).

Przytoczyłem dłuższy fragment wypowiedzi Pomorskiego, aby wskazać na jego przełomowe znaczenie. Dotychczas nie wymagano od krytyka muzycznego, aby był wirtuozem, a od krytyka literackiego, żeby był poetą lub prozaikiem. Warunkiem wystarczającym było, żeby umiał rozróżnić dobre od złego, żeby umiał wskazać błędy. Z drugiej strony w zakresie naszej dyscypliny wystarczy pokazać, gdzie krytyk się mylił. Doświadczenie dydaktyczne może być przywoływane wtedy, gdy chodzi o dydaktykę. Zarówno w swoich odpowiedziach, jak i w podręczniku Autorzy wartościują prace historyczne ewidentnie nie dysponując wiedzą niezbędną do ich oceny.

Taka kuriozalna koncepcja jest rozwijana dalej: „Nieodróżnianie akademickiej wiedzy specjalistycznej od podręcznikowej może przydarzyć się studentowi, ale jeśli robi to nagminnie profesor historii, to istne kuriozum, a to właśnie przypadek zarówno Skibińskiego, jak i Sikorskiego” (s. 401). Jest to dziwaczne rozumowanie, próbujące wyznaczyć kto jest uprawniony do krytyki podręcznika. Odpowiem na nie tak: nie krytykowałem prac teoretyków historii, dlatego że uznawałem je za reprezentujące specyfikę tego sposobu zajmowania się teorią. W przypadku podręcznika

² MARKIEWICZ 1982, s. 118.

mamy jednak problem, który dotyczy edukacji młodzieży akademickiej. Podręcznik wymaga więc poprawy błędów, większej staranności w formułowaniu tez. Jak widać postąpiłem źle. Powiniennem był zacząć krytykę wcześniej. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że moje stanowisko było znane teoretykom historii od lat.

W recenzji wskazałem na błędy i niekonsekwencje w wybranych tekstach podręcznika. Przyjąłem, że skoro jest to podręcznik to wskazane błędy i niekonsekwencje rzutują na całość. W formularzu recenzji prac licencjackich i magisterskich pada na początku pytanie: „czy zawartość pracy jest zgodna z tytułem?” Odpowiedź w tym przypadku musi być negatywna. Nawiązanie przez Pomorskiego do idei polifoniczności nie znajduje potwierdzenia w przyjętej przez niego formule odpowiedzi. W samym „Wprowadzeniu do metodologii historii” słowo to pojawia się tylko raz. Podobnie koncepcja dzieła otwartego Umberto Eco. Odwołanie się do tego autora jest podobnie częste, jak odwołanie się do idei polifoniczności. Niestety koncepcja dialogowości przedstawiona w odpowiedziach na recenzje sprowadza się do wyznaczania, kto ma prawo głosu.

Jako recenzent nie zabierałem głosu w sprawie koncepcji uprawianej przez Autorów teorii, nie wskazywałem lepszej/lepszych. Stawiam podręcznikowi wymagania tradycyjne, które ujmuje słowo akrybia. Chodzi zatem o to, że podręcznik powinien być przygotowany starannie, właśnie dlatego że jest przeznaczony dla ludzi uczących się. Błędy nie służą odbiorcom podręcznika. *Locus classicus* w tej kategorii reprezentuje błędne przypisanie Hannah Arendt, jednej z najwybitniejszych myślicielek XX w., szkole frankfurckiej. Jest to oczywiście błąd, i nie byłoby warto do niego wracać, ale oto mamy w odpowiedzi Pomorskiego taki *passus*:

Oczywiście można się spierać, na ile desygnat *pojęcia* szkoła frankfurcka jest jednoznacznie określony i jakie nazwiska się w nim mieszczą (bez trudu jednak można wskazać pozycje, w których Arendt jest tak w świecie anglosaskim odbierana). Ważniejsze być może jest jednak to, że *sama* Hannah Arendt wielokrotnie, nie tylko w swej korespondencji z Jaspersem, przyznawała, jak wiele tej szkole myślenia zawdzięcza (choć nigdy nie zapominała, że to Adorno utracił habilitację jej pierwszego męża) (s. 405–406).

W przypisie do tego tekstu mamy wskazane odesłanie do literatury przedmiotu:

ARENDR 1992, cf. także ARENDR 1969 oraz to, co pisze na ten temat jej długoletnia asystentka: HILL 2021.

Chodzi tu o następujące pozycje:

ARENDR 1992 = Hannah Arendt, Hannah Arendt and Karl Jaspers, *Correspondence 1932–1969*, ed. Lotte Kohler and Hans Sander, New York: Harcourt 1992

ARENDR 1969 = Hannah Arendt, *Illuminations. Essays and Reflections*, New York: Schocken Books 1969

HILL 2021 = Samantha Rose Hill, *Hannah Arendt*, London: Reaktion Books 2021.

Znajdujemy tu więc najpierw angielskie tłumaczenie z j. niemieckiego korespondencji Arendt i Jaspersa. Na s. 634 czytamy wypowiedź Arendt na temat T. Adorno, lidera tej szkoły:

And that is grotesque, all the more so because it has been revealed (students found this out) that Wiesengrund (a half-Jew and **one of the most repulsive human beings I know**) tried to go along with the Nazis.

Na co odpowiada jej Jaspers:

On Adorno: **You have spoken about him in the same vein in which you write now.** If the students can prove that he tried to ingratiate himself with the Nazis, why don't they make it publicly known? They have done that with other professors (in Bonn, for example, when Benno von Wiese produced his inately pathetic excuses). That would be of great value to the universities. It seems that Adorno is becoming an authority in the Federal Republic, highly respected. **What a fraud. In what I have read of him, I find nothing worthy of serious consideration,** not even in his brilliant, vastly knowledgeable writings that examine things from every possible angle and in which he assumes a vantage point of the greatest wisdom. And yet he is taken seriously. I quickly become bored with him. Such hodgepodes of anything and everything that comes to mind are intolerable³.

Wzmianki o szkole frankfurckiej pojawiają się w tym wydaniu korespondencji konsekwentnie tylko w przypisach. Z kolei w pracy Samantha Rose Hill, polecanej przez Pomorskiego, znajdujemy takie uwagi na temat stosunku Arendt do szkoły frankfurckiej: „She was not fond of the so-called Frankfurt School and their idea of Critical Theory”⁴. Dalej ta sama autorka pisze:

Arendt came from a different tradition of thought. Adorno and Horkheimer rejected the traditions of phenomenology, which laid an ontological foundation for how people experience existence. She was influenced by Aristotle's conception of politics, Immanuel Kant's understanding of reason and judgement, Heidegger's phenomenology, and Jaspers's existentialism. These elements in Arendt's thinking could not be reconciled with Adorno's Marxist economics, Hegelian dialectics and inclination towards social psychology⁵.

Odrębnej uwagi wymaga takie odesłanie do kolejnego dzieła w zapisie Pomorskiego: „ARENDR 1969 = Hannah Arendt, *Illuminations. Essays and Reflections*”. Wbrew temu zapisowi jest to zbiór esejów Waltera Benjamina, do którego Arendt napisała wstęp, kilka razy przerabiany i wydany po polsku jako *Hannah Arendt Walter Benjamin 1892–1940*, przełożył Andrzej Kopacki, posłowie Ewa Rzanna,

³ ARENDT 1992, s. 638 (podkr. E.S.).

⁴ HILL 2021, s. 58.

⁵ HILL 2021, s. 59.

Gdańsk 2007. W tekście Arendt nie ma mowy o zbieżnościach między jej stanowiskiem i Adorna, a tym bardziej całej szkoły frankfurckiej.

Arendt była całe życie negatywnie nastawiona do szkoły frankfurckiej. Oczywiście nie oznacza to, że musimy być więźniami tych animozji. Krytykuję więc błąd powtórzony w odpowiedzi przez Pomorskiego. Błąd, który należy zauważyć i nie powtarzać, zwłaszcza w podręczniku.

Specyficzną „kulturę akademicką” okazuje opowieść Pomorskiego o pomyłce Brygidy Kürbis, która miała nie zrozumieć dyskusji na temat korespondencyjnej teorii prawdy. Czy Pani Profesor знаła to określenie czy nie, tego nie wiem. Znała jednak koncepcję Arystotelesa i kilka innych. Na pewno nie określała siebie jako źródłoznawczynię. Podobne nieporozumienia można wskazać bez posługiwania się nieweryfikowalną plotką w tekstach teoretyków historii, piszących o metodyce historycznej. Prawo do błędnego zrozumienia jakiegoś terminu przez uczestnika dyskusji bez narażania się na wyśmianie jest jedną z podstaw dialogu. Dialogują ludzie używający różnych pojęć, odwołujący się do różnych koncepcji. Dialog wymaga więc od nas wyjaśnienia tych różnic. Przykład jest jednak przytoczony z jasnych pobudek, z oczywistym zamiarem wyśmiania Brygidy Kürbis bez konieczności analizy jej tekstów. W tym samym stylu i z tą samą „kulturą” pisze Pomorski tak:

Szczególnie „urocze” jest pomylenie przez Skibińskiego (SKIBIŃSKI, s. 549) – znów na zasadzie pierwszych skojarzeń – *idiogramu*, jako schematu graficznego, z *idiografizmem*, które daje mu pretekst do kolejnego „uczonego” wywodu na temat różnicy między idiografizmem a nomotetyzmem (ten cudzysłów staje się zrozumiały, gdy zestawimy go z tym, co akurat w tej materii ma do powiedzenia Jan Woleński w swoim komentarzu do Wprowadzenia) by na koniec postawić równie głębokie, jak cały wywód pytanie, „czy istnieją schematy nomotetyczne?” Naprawdę tak trudno było zorientować się, że to zwykły przeoczony błąd korektorski? W sformułowaniu w poniższym schemacie *idiogramicznym* literę „m” pomyłkowo (zapewne w ramach korekty komputerowej) ktoś zastąpił literą „f”. Faktycznie ma rację jeden z metodologów historii, który twierdzi, że *jak pracuje umysł Skibińskiego?* to temat na osobną książkę... (s. 408).

Cóż mogę odpowiedzieć – nie ma słowa idiogramiczny, a idiogram oznacza tylko pewien rodzaj schematów, ale nie każdy. Zgubiła Pomorskiego inklinacja do słów obcojęzycznych, makaronizacja języka. Oczywiście wiele pojęć wywodzi się z obcych języków, ale te nie powinny być *multiplicanda praeter necessitatem*.

W swoim tekście Pomorski unika konkretnych odpowiedzi i próbuje wmanipulować recenzentów w jakąś dalszą dyskusję. Nie tu jednak jest jej miejsce. Wskażmy zatem na dalsze kurioza. Oto pisze Pomorski o recenzji Żmudzkiego, która jest oczywiście lepsza od mojej, choć jednak ma pewne wady: „esej, który być może dobrze się czyta, ale który zdradza też skrywane fobie (podobno z mizoginii da się dziś wyleczyć dzięki odpowiedniej psychoterapii)” (s. 410). Jestem zwolennikiem tzw. poprawności politycznej, która jest stosowaniem dawnej zasady, żeby nie obrażać rozmówcy. Warto jednak zauważyć, że psychoterapia nie leczy – terapeuta nie jest

lekarzem. Zbadajmy więc całą sprawę. Nie ma rozwinięcia tematu w odpowiedzi J. Pomorskiego, jest za to w tekście E. Domańskiej:

Wątpliwości co do reprezentatywności opinii budzi także zauważalny brak kobiet wśród recenzentów. Różnorodność płciowa jest istotna, by uniknąć jednostronnych ocen często związanych z uprzedzeniami płciowymi, które przejawiają się np. w przeświadczeniu, że mężczyźni są bardziej predystynowani do zajmowania się pewnymi dziedzinami wiedzy, jak np. metodologia, niż kobiety, w lekceważącym sposobie traktowania kobiet, specyficznym użyciu języka, ignorowaniu osiągnięć naukowych, umniejszanie jakości i wartości ich badań, bardziej krytycznym nastawieniu wobec tematów badawczych podejmowanych przez kobiety, zwłaszcza jeżeli tematy te są postrzegane jako mniej „tradycyjne” lub mniej „ważne” w danej dziedzinie (s. 421).

Autorka przedstawia tu jawne insynuacje. Recenzenci nie stanowią zespołu – nie można więc oceniać tych recenzji pod tym kątem. Z drugiej strony zaś witam te insynuacje jako przemyślenie własnej podstawy na temat parytetu. W swojej książce „Encounters: Philosophy of History After Postmodernism”⁶, która stanowi zbiór wywiadów z historykami i **jedną** tylko historyczką, Domańska nie miała jeszcze takich poglądów.

Podobnie ma się rzecz z zarzutem postawionym przez Domańską Przemysławowi Białkowi: „Czy chodziło o znane z historii patriarchalnej akademii stosowanie deminutywów, jak metodolożka, które (w tym kontekście) jest pogardliwe?” (s. 428). Jest to ponownie insynuacja – słowo „metodolożka” nie jest deminutywem – mamy tu do czynienia z formantem *-ka* służącym do tworzenia form żeńskich rzeczowników. Tego terminu użył również Pomorski w swoim tekście: „Jeśli **metodolożka** (podkr. E.S.) historii, prowadząc swoje badania nad współczesną historiografią wskazuje na rozmaite zwroty i nowe trendy, jakie udało jej się dostrzec przy użyciu *dźwigni wyobraźni i innych narzędzi do myślenia*” (s. 410). W tym przypadku nie mam pewności, czy jest to użycie neutralne czy ironiczne. Takim *locus classicus* patriarchalnej akademii jest opowieść Pomorskiego o Kürbisöwnie wysmiewanej przez mężczyzn filozofów sytuacja, którą Pomorski, a więc zapewne i Domańska aprobejuje. Ironia jest tu podwójna – jeśli się pamięta o erudycji również filozoficznej poznańskiej źródłoznawczyni.

Objaśnienie problemów słowotwórstwa i zasad tworzenia feminatywów można znaleźć w pracy zbiorowej: „Gramatyka współczesnego języka polskiego. Morfologia II”⁷; por. również hasło „Feminatyw” w Wikipedii.

Podobną szkołę wyzwisk dokumentuje Pomorski określając swoich krytyków jako Droysenowskich eunuchów. Eunuch jako słowo obraźliwe (gratuluje wrażliwości) jednak w moim wieku to już nie robi wrażenia. Pomorski bierze mnie chyba za osobę młodszą niż jestem. Nie czynię też obraźliwych uwag o ludziach okaleczonych.

⁶ DOMAŃSKA 1998.

⁷ Gramatyka 1998, s. 422 i n.

Stan zdrowotny człowieka i jego sprawność zawodowa to dwie różne sprawy. Alternatywą dla Droysenowskich eunuchów jest partyjność historiografii, rozumianej od strony państwa, narodu i religii. O partyjności w nauce pisano też w historiografii komunistycznej. Idea to stara, sięgająca XVIII w. i rzeczywiście sprzeczna z moimi poglądami. Jestem zatem po stronie Droysenowskich eunuchów – partyjność zawsze zwalczała indywidualne „odchylenia”. Pozostaję po stronie tych ostatnich. Pozostaję też po stronie minimalnych choćby wymagań kultury osobistej.

W dalszej części swojego tekstu Pomorski wymienia szereg historyczek i historyków próbując wmontować moje uwagi w szerszy kontekst. A zwyczajnie wystarczyło staranniej przygotować książkę. Podręczniki są od innych prac ważniejsze pod tym względem, że powinny stwarzać płaszczyznę do dyskusji. Dlatego też powinny być starannie obmyślane i zrealizowane. Pisanie polemik zaś wymaga przeczytania krytykowanych tekstów.

Przejdę teraz do tekstu E. Domańskiej, do którego już się odwoływałem. W przeciwieństwie do Pomorskiego Domańska zaczyna od takich uwag:

Jesteśmy wdzięczni za czas i uwagę recenzentów poświęconą naszej książce, a przede wszystkim za wskazanie wielu uchybień, niedoskonałości, a czasami i błędów merytorycznych. Równocześnie jesteśmy zdumieni reakcją tych, którzy naukową dyskusję próbują zmienić na frontalny atak nie tyle, czy nie tylko, na samą książkę, ale i na metodologię historii jako taką oraz na reprezentujących ją badaczy (s. 418).

Druga część tej wypowiedzi zdaje się być sprzeczna z pierwszą i jest ewidentnie nieprawdziwa. Wskazanie na błędy ma być frontalnym atakiem – na co? na środowisko błędów?

Swoją wizję Domańska pogłębia dalej:

Przyznajemy, że trudno nam się odnieść się do jednostronnie negatywnych recenzji autorstwa poznańskich mediewistów i *źródłoznawców* – Profesorów: Dariusza Sikorskiego i Edwarda Skibińskiego, próbujących zdyskredytować w oczach polskiego środowiska historycznego metodologów, teoretyków i historyków historiografii jako grupę zawodową niewnoszącą nic pożytecznego do badań, jakie prowadzą historycy (s. 418).

W ten sposób próbuje Domańska krytykę błędów popełnionych przez niektórych przenieść na całą „grupę zawodową”, która jest pojęciem pustym – nie ma grupy zawodowej metodologów historii. Paradoks polega na tym, że sam jestem historykiem historiografii, zapewne w większym stopniu niż E. Domańska. Nigdy nie deklarowałem, że prace naukowe mogą być pozbawione błędów i że błędy dyskredytują całkowicie tego, który je popełnia. Przeciwnie, błędy są nieuniknione. Dlatego że się z nimi liczymy, kontrolujemy swoje prace, mimo to czasem się zdarzają. Potem prace są przekazywane do korekty. Nie chodzi więc o błędy, lecz o ich ilość itd. Są to sprawy zbyt znane, żeby je tu powtarzać.

Napisawszy te słowa Domańska nie zatrzymuje się i brnie dalej:

Ten – jak wynika z naszych obserwacji – **od dłuższego czasu planowany (już w trakcie powstawania podręcznika) i przygotowany atak na metodologię i metodologów historii** (podkr. E.S.), który zresztą – co interesujące – inspirowany jest działaniami środowiska poznańskich *źródłoznawców* i historyków średniowiecza, musi mieć jakąś swoją głębszą przyczynę. Profesorowie: Sikorski i Skibiński nie są zainteresowani dyskusją i wypracowaniem wspólnych stanowisk, bowiem od dawna mają ugruntowane opinie wobec miejsca metodologii historii w badaniach historycznych i w dydaktyce i obojętnie, co byśmy tutaj nie napisali, nie zmienia to ich myślenia na ten temat. Z tego punktu widzenia mamy zatem do czynienia z patologią kultury akademickiej i kuriozum recenzyjnym, który nie zdarza się np. Profesorowi Dariuszowi Sikorskiemu po raz pierwszy, lecz stanowi pewien charakterystyczny rys profilu intelektualnego tego badacza (s. 420).

Są to urojenia spiskowe wsparte na kłamstwach. Dyskusje z metodologami podejmowałem kilkakrotnie. Z mojej inicjatywy zorganizowaliśmy sesję poświęconą Haydenowi White'owi. Zorganizowaliśmy też spotkanie poświęcone faktowi historycznemu – nieudane, nie z mojej winy. Wspierałem E. Domańską również na piśmie. Żadnej próby wypracowania wspólnych stanowisk ani Domańska, ani Pomorski nigdy nie podejmowali. Skąd więc te pretensje? Dalsze argumenty Domańskiej przedstawiają się tak:

Chcemy podkreślić, że nie negujemy zarzutów wobec *Wprowadzenia do metodologii historii* jako całości, jak i wielu zasadnych uwag krytycznych wobec indywidualnych rozdziałów książki, a odpowiedzi na nie pozostawiamy zainteresowanym autorom, podobnie jak wybór miejsca, gdzie zdecydują się je opublikować. Uważamy jednak, że z punktu widzenia potrzeb polskich badań historycznych (jak widzą je specjaliści od refleksji teoretycznej i nowych tendencji w badaniach historycznych), zmian zachodzących we współczesnej nauce, spadku roli badań humanistycznych, a także problemów współczesnego świata, które zwłaszcza w naszym rejonie Europy potrzebują profesjonalnych i krytycznych badań historycznych, **uważamy ten atak za nieodpowiedzialny, krótkowzroczny, i nastawiony na osiągnięcie doraźnych i lokalnych celów** (s. 421, podkr. E.S.).

W tej wypowiedzi mamy potwierdzenie stanowiska Pomorskiego i Droysena na walkę z eunuchami. Moja krytyka była nieodpowiedzialna i krótkowzroczna. Nie wiem jakie cele, które chciałem zrealizować moją recenzją, wyobraża sobie Domańska. Sama Autorka, podobnie jak Pomorski, są ludźmi utytułowanymi i mającymi duży wpływ na funkcjonowanie nauki. Ja pozostaję człowiekiem prywatnym i nigdy żadnych funkcji nie sprawowałem, może więc z tej perspektywy nie jestem godzien takiego zaszczytu, jak recenzowanie ich tekstów? Może i tak. Tę część swojej wypowiedzi Domańska kończy klasycznym pytaniem: „Można zadać pytanie, jaki jest tego cel i jaki pożytek z tego wyniknie dla polskiej historii i polskich historyków? I kto ma w tym rzeczywisty interes?” (s. 421–422).

Proponuję tym ostatnim pytaniem nazwać dział recenzyjny w czasopismach naukowych. Z drugiej strony można sobie wyobrazić idealny dział recenzyjny – zgodny z tenorem wypowiedzi Domańskiej i Pomorskiego, który proponuję nazwać „Laurki”, gdyż stare słowo recenzja jest już jak widać *passé*. Dalsze zarzuty Domańskiej muszę wydzielać z tekstu, który jest poświęcony również innym wypowiedziom: „Skibiński: definicja metodologii proponowana przez Pomorskiego jest błędna, s. 548; „pojęcie «potoczna metodologia stosowana»: jest moim zdaniem nietrafne”, s. 543” (s. 428).

Wprowadzeniem dla tych cytatów jest takie zdanie: „Dominuje metoda kwestionowania faktów bazowych” (s. 428). Domańska uznaje więc koncepcje przedstawione przez powiedzmy Pomorskiego za fakty bazowe. Tu się różnimy i to być może jest źródłem obelg i pomówień. Dla mnie są to jedynie koncepcje, teorie, które powinny być jasno sformułowane i uzasadnione. Trudno takie uwagi uznać za argumentację, raczej są to prawdy świeckiej wiary. Domańska ma jednak pretensję do moich wniosków. Spróbuję więc je trochę wytłumaczyć. Moja wypowiedź, skomentowana w wyżej omówiony sposób jest szersza. Przytoczę jednak jej fragment:

Pomorski definiuje bowiem metodologię następująco: „Metodologia ogólna to zbiór społeczno-kulturowych reguł sterujących naukową praktyką badawczą, a metodologia historii to zbiór takich reguł sterujących przebiegiem działań podejmowanych w obrębie społecznej praktyki badań historycznych”. Takie naturalistyczne rozumienie metodologii ogólnej jest błędne. Metodologia może stanowić najwyżej próbę opisu reguł sterujących naukową praktyką badawczą (s. 548).

Mój zarzut odnosi się do mieszania dwóch poziomów – realnej sytuacji i jej opisu. Opisów może być wiele. Wszyscy posługujemy się jakimś językiem, rozpoznawanym jako wspólny język. Jest wiele różnego rodzaju teorii, które starają się przedstawić czym jest język i jak funkcjonuje. Chodzi więc o sposób objaśnienia tego zagadnienia. Błędny przykład z językiem prowadzi Pomorskiego do nietrafnego przedstawienia swoich koncepcji. Oczywiście nie jest też metodologia „zbiorem społeczno-kulturowych reguł sterujących naukową praktyką badawczą”. Reguły te są wyznaczane i kontrolowane instytucjonalnie, lecz też tylko w pewnym zakresie, o reszcie decyduje indywidualność badacza/badaczki. Nie są te reguły również zbiorem.

Domańska docenia w moim tekście retorykę, choć nie objaśnia przykładu: „Na przykład można się zastanowić nad niby nieznaczącymi, a jednak mającymi swoją wagę retoryczną stwierdzeniami typu: „... mamy szkołę Kmity i Annę Pałubicką (żona Kmity)”, Skibiński, s. 559” (s. 428).

Mój tekst brzmiał jednak w następujący sposób:

Zobaczmy najpierw, kim są mistrzowie. Obok Zybertowicza (uczeń Jerzego Topolskiego) mamy Wojciecha Wrzoska (uczeń Topolskiego i Jerzego Kmity) oraz szkołę Kmity i Annę Pałubicką (żona Kmity) w interpretacji Wojciecha Piaska. Nigdy nie byłem przeciwnikiem Topolskiego i Kmity, jednak czy poza ich teoriami nie ma nic więcej? Jeśli nie, to czy nie należałoby uprzedzić o tym czytelnika? (s. 559).

Domańska manipuluje tym tekstem tak żeby był wymierzony w Jerzego Kmitę. Tymczasem pytanie o autorytety, powinno się tu pojawić. W podręczniku mamy pewną wersję/wersje być może metodologii, elementarnym obowiązkiem byłoby przyznać się do swoich źródeł – takim na przykład zdaniem – „Podstawy koncepcji reprezentowanych przez autorów wypracowali ...” itd.

Jedną z niewielu pełniejszych polemik przedstawionych przez Domańską jest taki fragment:

Nie zgadzamy się z opinią Edwarda Skibińskiego, który uważa, że promowana w podręczniku wizja metodologii jest subdyscypliny badań historycznych, jest założeniem (?) fałszywym, bowiem metodologia z założenia nie prowadzi badań historycznych. „Nie zajmuje się też przedmiotem badań historycznych” (s. 542). Materiałem badawczym są dla metodologa zarówno teksty historiograficzne (narracja historiograficzna jako efekt pracy historyka), jak i materiały wizualne i gry komputerowe (Piotr Witek), strony internetowe (Wiktor Werner) czy muzea historyczne (Anna Ziębińska-Witek) (s. 429).

Tu jak widzę mamy po prostu inne rozumienie badań historycznych. Do przedmiotu badań historycznych nie zaliczam gier komputerowych, czym są materiały wizualne można zgadywać, muzea historyczne to jest też oddzielna branża, choć bliska źródłoznawstwu. Wszystko to jest przedmiotem badań np. socjologów. Badanie narracji historycznej może być przedmiotem badań historycznych – wymaga jednak kompetencji narratologicznych i warsztatowych. Ponadto narracja historiograficzna jako efekt pracy historyka wymaga podwójnych kompetencji – historyka określonej specjalizacji i narratologa. Tradycyjnie zajmują się tym historycy omawiający stan badań. Narratologia również ma już swoje pole badawcze. Jest to oczywiście tylko moje zdanie i rozumiem, że nie mam do niego prawa w dyskusji z metodologami. Domańska jednak na koniec wykazała się pewnym talentem satyrycznym:

Podnoszone przez Skibińskiego punkty stanowią ważne przesłanie dla wszystkich, którzy angażują się w akademickie dyskusje. **Dialog i otwartość na różnorodne perspektywy są kluczowe, a krytyka – choć niezbędna w nauce – powinna być przeprowadzana w sposób konstruktywny**, nie zaś jako narzędzie do dyskredytacji siostrzanej subdyscypliny i jej przedstawicieli. **Zaplanowany atak na metodologię i metodologów**, nie służy rzeczowej debacie i budowaniu kultury naukowej opartej na wzajemnym szacunku i wymianie wiedzy. Nie pozwala także, a wręcz hamuje, rozwój dyscypliny, który powinien przebiegać w sposób zrównoważony i uwzględniający różne punkty widzenia. Nie tylko rewolucja, lecz także wojna jest zawsze złym rozwiązaniem – zwłaszcza środowiskowa wojna sąsiedzka prowadzona w imię sporów terytorialnych, o granice między źródłoznawstwem i metodologią historii, walka o „rząd dusz” studentów i o zajęcia. **Mamy w tej chwili do czynienia z hybrydowym najazdem na metodologię** i próbę zakwestionowania suwerenności tej subdyscypliny badań historycznych, a nawet jej samej. Po co? W czym interesie... (s. 432, podkr. E.S.)

A wystarczyło zadbać o staranne przygotowanie podręcznika. Nagonka jaką przeprowadza Domańska na mnie jest źle wycelowana. Wyjaśniam tylko wątpliwe treści, ale już nie dyskutuję.

Zajmę się teraz wypowiedzią Piotra Witka „Granice fasadowej krytyki”. Kilka uwag o wprowadzonym przez Autora w zestawie słów kluczy pojęciu „akademickiego awanturnictwa”. Jak się kiedyś mówiło – styl to człowiek. Nie ma tu właściwie żadnych argumentów, poza dość nieudolnym i nietrafnym wyliczeniem moich uwag krytycznych. Autor, nie mając wiedzy z zakresu metodyki i nie znając stanu badań, zajął się analizą sporu Sikorskiego z Urbańczykiem. Na te polemiki jak sądzę odpowie Dariusz Sikorski. Ja ze swej strony zwrócę uwagę na pewność Witka, że dobrze zrozumiał o co chodzi w tym sporze. Pisze o tym tak:

W związku z tym, że o pseudo-recenzenckich dokonaniach Skibińskiego wyczerpująco pisze w swoim artykule Wiktor Werner (WERNER 2024), w moim tekście zdecydowałem się przywołać jako spektakularny przykład akademickiego awanturnictwa tylko atak Sikorskiego na legitymizującego się niezwykle wysoką świadomością i kulturą metodologiczną archeologa i historyka o międzynarodowej renomie Przemysława Urbańczyka (s. 438, przyp. 3).

Zdradza tu Witek swoje kryteria oceny – „wysoka świadomość i międzynarodowa renoma” sprawiają, że wszelka krytyka będzie tu tylko awanturnictwem.

Poszukiwania Witka były jednak dość jednostronne. Nie tylko D. Sikorski się poważył. Witek nie zauważył recenzji Grzegorza Paca z książki Urbańczyka. Przywołajmy zatem tylko jeden fragment z recenzji tego uczonego:

Przywołajmy jeden (przynaję, tym razem szczegółowy) przykład z omawianej monografii: zastanawiając się nad okolicznościami zawarcia małżeństwa przez Mieszka i Dobrawę, Autor cytuje następujące słowa Thietmara: „W czeskiej krainie pojął on za żonę”. Wskazują one, zdaniem P. Urbańczyka, na miejsce ślubu i są podstawą do polemiki z uwagą H. Kóćki-Krenz, która stwierdza, że ten miał miejsce w Poznaniu (s. 160). Można więc odnieść wrażenie, że badaczka – stawiając swoją hipotezę – nie dostrzegła podstawowego źródła czy też właśnie dokonała błędnego odczytu, to znaczy niezrozumiała jego przekazu. Tego jednak nie zrozumiał raczej jej polemista, ślub bowiem miał miejsce w Czechach jedynie w przekładzie Mariana Z. Jedlickiego, a w wydaniu krytycznym tekstu łacińskiego *passus* ten brzmi: „a Boemia regione [– –] sibi uxorem [– –] duxerat”, czyli „wziął sobie żonę z czeskiej krainy”. Sprawa miejsca zaślubin pozostaje więc, w świetle przekazu Thietmara, otwarta⁸.

Jest więc takich krytyk prac P. Urbańczyka. Można je znaleźć również „na popularnym portalu histmag.org” (formuła W. Wenera). P. Urbańczyk był również gościem na Seminarium im. Brygidy Kürbis, na którym dyskutowaliśmy otwarcie jego kolejną książkę.

⁸ PAC 2015, s. 546.

Jednak pamiętajmy, że ze strony Witka jest to zwykła manipulacja. Dyskutujemy przecież o podręczniku *Wprowadzenie do metodologii historii*, a nie o książkach Urbańczyka. Witek kończy absurdalnym stwierdzeniem:

Po lekturze recenzji można przypuszczać, że metodolodzy, jeśli chcieliby zaangażować się w odrodzenie metodologii historii w Polsce, powinni udać się na resocjalizacyjne kursy z metodyki historii i źródłoznawstwa prowadzone przez Skibińskiego, Sikorskiego i Stróżyka. Na takich kursach zaznajomiliby się z praktyką badawczą, metodami badawczymi, sposobami naukowego argumentowania i uzasadniania, nienaturalistycznym podejściem do nauki, naukowymi technikami analizy i interpretacji. Dzięki takim kursom, w kooperacji z poznańskimi metodykami historii, mogłaby powstać nowa alternatywna metodologia historii. W tworzenie takiej alternatywnej metodologii historii chyba są zaangażowani obaj „recenzenci” (s. 450).

Warunkiem wszelkiej polemiki jest zapoznanie się z dyskutowanym tekstem. To zależy jednak od woli polemisty. Metodologią historii nie zajmowałem się i nie zajmuję, natomiast obiecuję, że będę śledzić te publikacje i mogę czasem pozwolić sobie na awanturnictwo. To jednak nie powinno niepokoić Piotra Witka, ponieważ nie będzie tego czytał. Podejrzewam jednak, że zgodnie ze swoim zwyczajem będzie to komentował. Jednak pomysł na kurs metodyki historycznej dla opornych jest cenny. Nie ma natomiast potrzeby zwracać się do autorów recenzji. Historyków, którzy prowadzą bądź mogą prowadzić takie kursy, jest w Polsce bardzo wielu.

Kolejna odpowiedź na moją recenzję wyszła spod pióra Wiktora Wernera. Nosi ona tytuł „Pseudo-Katon czyli o praktyce recenzenckiej znanego *źródłoznawcy*”. Tekst jest niewielki, a jego tematyka znajduje się poza kompetencjami Wernera. Zaczniemy jednak od tytułu. W zamierzeniu obelżywe określenie Pseudo-Katon, podobnie jak eunuch Pomorskiego, traktuję jako pochwałę, choć chybioną. Pseudo-Katon oznacza autora piszącego podobnie jak Katon, ale od niego różnego. Jednak jest to określenie nieudane. W przeciwieństwie do wielu teoretyków historii nie angażuję się w politykę, a trudno być Katonem bez polityki. Co więcej nigdy żadnych funkcji nie sprawowałem, co oczywiście ułatwia atak na moją osobę, ale stawia pod znakiem zapytania kompetencje Wernera w sprawie nadawania mi tak pięknego określenia. Przejdźmy teraz do meritum. Nie ma tu polemiki z moją krytyką tekstu Wernera. Cała wypowiedź poświęcona jest wyłącznie moim recenzjom innych prac. Pozostałego mojego dorobku nie zna, a trudno żebym go tu wymieniał. Ten dziwny atak ma za zadanie zdyskredytować mnie i zniechęcić do pisania recenzji. Będzie jednak odwrotnie. Mój dorobek recenzyjny ma swoich czytelników. Zajmowałem się różnymi pracami. Napisałem dwie recenzje książek o Lechu Wałęsie – z pracy Cenckiewicza i Gontarczyka (niewydrukowana) i z pracy Pawła Zyzaka. Napisałem też inne recenzje. Na polemiki autorów (rzadkie) zawsze odpowiadałem, wyjątkiem jest odpowiedź Kasperskiego na moją recenzję. Choć to może zabrzmie nieprawdopodobnie nie przeczytałem jej do dzisiaj. Nie byłem świadom, że została zamieszczona

po mojej recenzji, Redakcja „Przeglądu Historycznego” też nie zwróciła się do mnie o ustosunkowanie się do niej. Czynię to więc teraz, z konieczności skrótowo, na potrzeby tej wypowiedzi. Zaczniemy jednak od początku. Pierwszy argument przeciwko Pseudo-Katonowi wytoczył Werner taki:

Oprócz jednego artykułu z serii „Powtórka przed...” (maturą) możemy odnaleźć go (Skibińskiego) jako współautora *Vademecum historyka mediewisty*. Jego wkład do tego podręcznika nie został wszelako oceniony zbyt wysoko przez czytelników, a przynajmniej tak to wynika z recenzji opublikowanej na popularnym portalu histmag.org, której fragment przytoczę, aby uświadomić czytelnikom, że poza Edwarda Skibińskiego na arbitra uniwersalnego nie musi oznaczać fachowej wiedzy a tym bardziej umiejętności w kwestiach, które sam surowo osądza (s. 456).

Moje teksty w *Vademecum mediewisty* spróbował zrecenzować przywołany tu Norbert Gołdys. Pisze on tak (w wersji przytoczonej przez Wenera):

Czytelnik nie dowie się niczego o koncepcji powiązań kronikarza z Francją (M. Plezia) czy z Cesarstwem (zupełnie nieodnotowana ostatnia praca J. Wenty). W zamian, po przeczytaniu artykułu, będzie pewien, że koncepcja T. Jasińskiego o weneckim pochodzeniu autora Kroniki jest już w pełni zaakceptowana przez badaczy (s. 456).

Wersja o pochodzeniu Galla z Francji prezentowana przez Mariana Plezię została odrzucona na podstawie jego własnych prac o Mnichu z Lido. Teza Jarosława Wenty o pochodzeniu Galla jest interesująca, ale nie ma podstaw tekstowych. Polemizowałem z nią w odrębnym tekście. Natomiast pozostaje ona ważna; czekam jednak na argumenty. Koncepcja dopracowana przez Tomasza Jasińskiego jako jedyna ma podstawę źródłową. Dlatego należy jej się miejsce w encyklopedii. Nieprawdą jest twierdzenie Gołdysa, że „Wskazać należy kompletne zignorowanie osiągnięć kierunku badawczego, jakim jest komparatystyka, a w konsekwencji strącenie w niebyt prac J. Banaszkiwicza i jego uczniów”. Oczywiście wielbiciel ważnych prac Banaszkiwicza może poczuć się rozczarowany, zwłaszcza jeśli to nie zachęci go do dalszej lektury. To tyle jeśli chodzi o ten cytat. Oczywiście każdemu może się nie podobać mój tekst i wbrew Wenerowi, nie żywię niechęci do Gołdysa.

Werner, jak się domyślam, nie potrafi odpowiedzieć na moje zarzuty dotyczące jego tekstów we „Wprowadzeniu”. Sięga więc po pomoc do innych. Otóż nawet, gdyby wszystkie moje dotychczasowe recenzje były błędne, to i tak nie poprawi to tekstów Wenera w podręczniku. Właściwie nie powinienem odpowiadać na takie zaczepki, gdyż nie dotyczą one problemu, którym jest krytyka podręcznika *Wprowadzenie do metodologii historii*. Jednak mam nadzieję, że Czytelnicy „Przeglądu Historycznego” mi wybaczą, kiedy spróbuję odnieść się do odpowiedzi Roberta Kasperskiego na moją recenzję jego książki. To Kasperski właśnie ma ukazać całą nędzę mojej argumentacji. Kamieniem obrazy jest mianowicie moja recenzja książki Kasperskiego *Reges et gentes*. Kasperski tak zaczyna swoją odpowiedź:

Przyznaję, że z dużym zdziwieniem przyjąłem wiadomość, iż w „Przeglądzie Historycznym” ukaże się artykuł recenzyjny na temat mojej książki *Reges et gentes. Studia nad dyskursem legitymizującym władzę nad wspólnotami wyobrażonymi oraz strategiami ich konstruowania we wczesnym średniowieczu (VI–VII w.)* (dalej:R&G), którego autorem jest poznański filolog klasyczny, *źródłoznawca* i specjalista od teorii metod historycznych (jak się reklamuje na stronie internetowej Instytutu Historii Uniwersytetu Adama Mickiewicza) Edward Skibiński⁹.

Kasperski jest absolwentem historii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Uczyłem go łaciny średniowiecznej. Nie musiał więc dowiadywać się o mnie ze strony internetowej. Jednak ma trochę racji – nie zajmowałem się bliżej tymi autorami, choć oczywiście moje pierwsze zajęcia prowadziłem z poematów Homera, sięgałem więc głębiej niż Kasperski. Zajmuję się jednak historią historiografii w różnych epokach i próbami zastosowania w analizach nowszych metod badawczych.

Werner wylicza zarzuty postawione mojej argumentacji przez Kasperskiego. Zacznijmy od pierwszego:

- wprowadzająca w błąd sugestia podstawowej tematyki książki. Skibiński sugeruje, że recenzowana książka opiera się na metodzie antropologii historycznej, Kasperski wskazuje, że nawiązania do metod antropologicznych znajdują się w dwóch rozdziałach (z pięciu) (s. 457).

Moja recenzja nosi tytuł „Historia i antropologia. Problemy z metodami w badaniach historycznych (w sprawie książki Roberta Kasperskiego, *Reges et gentes. Studia nad dyskursem legitymizującym władzę nad wspólnotami wyobrażonymi oraz strategiami ich konstruowania we wczesnym średniowieczu (VI–VII w.)*, Instytut Historii PAN, Warszawa 2017, ss. 339)”¹⁰. Żadna recenzja nie omawia recenzowanej pracy w całości. Jest tak z kilku powodów: po pierwsze nikt by takiej recenzji nie chciał drukować, bo byłaby z konieczności zbyt obszerna, po drugie wymagałoby to od recenzenta poświęcenia własnego czasu na szczegółowe polemiki i odciągało go od interesującej go pracy (np. wedle koncepcji Wenera pisanie innych recenzji ciekawszych prac). Tytuł mojej recenzji informuje pod jakim kątem zamierzałem zrecenzować książkę Kasperskiego.

Kolejny zarzut sformułowany przez Wenera, do którego się odniosę brzmi:

- Skibiński przypisuje Kasperskiemu twierdzenia, które nie zostały sformułowane: dotyczy rzekomego odwoływania się do nieistniejących opisów pochodzenia Gotów u Izydora z Sewilli – problem polega na tym, że nie tylko Kasperski się do nich nie odwoływał, ale pisze wprost, że takich opisów u Izydora z Sewilli nie ma. Jeżeli Skibiński nie popada tu w jakąś **pomrocność** (lub Kasperski nas **nie okłamuje**, a raczej nie, bo wskazuje na konkretne fragmenty w swojej książce)

⁹ KASPERSKI 2020, s. 177.

¹⁰ SKIBIŃSKI 2020.

to oznacza to, że dla wzmocnienia erystycznego efektu swojej recenzji Skibiński najzwyczajniej mija się z prawdą (s. 457, podkr. E.S.).

Zwróćmy uwagę, że Werner pisząc o pomroczności odwołuje się do sławnej sprawy syna Lecha Wałęsy. Pada też podejrzenie, że może Kasperski kłamię. Poza tymi dwiema alternatywami jest jeszcze trzecia – ludzie czasem się mylą. Werner odsyła tu do s. 180 odpowiedzi Kasperskiego na moją recenzję. Brzmi ona tak:

Skibiński przypisuje mi twierdzenia, które nigdzie nie padają w R&G. Jeden przykład: „R. Kasperski próbuje wyjaśnić na podstawie dzieła Izydora jego stosunek do opowieści o pochodzeniu Gotów, przedstawionej zwięźle przez Jordanesa. Oczywiście nie ma u Izydora tej opowieści”. Oczywiście ja nigdzie takiego czegoś nie napisałem i w książce stawiam sprawę jasno, czego dowodzą cytaty: (s. 87): „faktem jest, że w narracji Historia Gothorum opowieści o wyjściu Gotów ze Skandzy zwyczajnie nie ma” i (na s. 220, przypis 6): „Izydor nie znał żadnej tradycji, która wywodziłaby Gotów ze Skandzy”. Jak więc miałbym objaśniać stosunek Izydora do origo Gotów znanego z Getica, skoro twierzę, że ten dziejopis nie wiedział o tradycji wywodzącej Gotów ze Skandzy?¹¹

Porównajmy ten tekst z końcówką mojej recenzji: „Oczywiście nie ma u Izydora tej opowieści. Możemy za to zaobserwować powstawanie uczonej legendy”¹². Pierwsze zdanie jest podsumowaniem mojego rozumienia tekstu Kasperskiego. Autor potwierdza jego poprawność. Mojej uwagi o powstaniu uczonej legendy Autor nie zauważył.

W polemice ze mną Kasperski dyskutuje również sprawy teoretyczne, ponieważ zaś mają one znaczenie dla jego umiejętności translatorskich pozwolę sobie je przytoczyć:

Turner z kolei służy Skibińskiemu do zaatakowania mnie z innej strony – zacytujmy: „odwołanie się do teorii V. Turnera musi budzić jednak zdziwienie. V. Turner bowiem inaczej rozumie rytuał niż przywołany przez R. Kasperskiego E.R. Leach – «By „ritual” I mean prescribed formal behavior for occasions not given over to technological routine, having reference to beliefs [sic! – przyp. R.K.] in mystical beings or powers». *Jak z tego widać, w przeciwieństwie do Leach’a V. Turner wiąże rytuał z religią*”. Ściśle rzecz biorąc, sam rytuał jest – jak wynika z przytoczonych słów – sformalizowanym zachowaniem na okazje nieprzeznaczone dla technologicznej rutyny, odnoszącym się do wierzeń (beliefs) w mistyczne istoty lub siły. Pójdźmy jednak drogą rozumowania Skibińskiego, według którego odwołanie do teorii Turnera budzi zdziwienie, ponieważ Turner inaczej rozumie rytuał niż Leach, łącząc go z religią. Otóż trzeba stwierdzić, że Skibiński albo nie zrozumiał teorii Leacha, albo po prostu nie zna jego książki. Z tego też pewnie wynika jego zdziwienie. Otóż dla Leacha rytuał jest tym samym co mit. Ponadto zacytujmy komentarz

¹¹ KASPERSKI 2020, s. 180.

¹² SKIBIŃSKI 2020, s. 163.

Leacha o pojmowaniu przez niego rytuału: „It is these other aspects which have meaning as symbols of social status, and it is these other aspects which I describe as ritual whether or not they involve directly any conceptualisation of the supernatural or the metaphysical. **Myth, in my terminology, is the counterpart of ritual; myth implies ritual, ritual implies myth, they are one and the same**”. **A więc mit i rytuał są tym samym** (podkr. E.S.)¹³.

Mój tekst, który komentuje Kasperski brzmi jednak następująco:

Z kolei koncepcję budowy rytuału czerpie R. Kasperski z teorii Victora Turnera. Píše o tym tak: „Victor Turner twierdził, że własnością symbolu rytualnego jest polaryzacja znaczenia. Każdy symbol, który jest najmniejszym elementem rytuału, ma – według Turnera – dwa jasno wyróżnione bieguny znaczenia”. Odwołanie się do teorii V. Turnera musi budzić jednak zdziwienie. V. Turner bowiem inaczej rozumie rytuał niż przywołany przez R. Kasperskiego E.R. Leach: „**By «ritual» I mean prescribed formal behavior for occasions not given over to technological routine, having reference to beliefs in mystical beings or powers**”. Jak z tego widać, w przeciwieństwie do Leach’a V. Turner wiąże rytuał z religią. **V. Turner ujmuje symbol jako jednostkę rytuału, mającą materialną i znaczeniową stronę. Sam symbol ujmuje jednak w zgodzie ze słownikiem Concise Oxford Dictionary.** Nie jest to więc jego koncepcja teoretyczna. I tę definicję przyjmuje też w swojej książce R. Kasperski (podaje jednak błędne odesłanie do książki V. Turnera – Turner pisze o tym na początku rozdziału I na s. 19, a nie na 27, jak chce Kasperski). Skoro jednak autor przyjmuje określenie potoczne ze słownika języka angielskiego, to po co sięgać do innych opracowań. R. Kasperski mógł przecież również posłużyć się słownikiem¹⁴.

Leacha definicja mitu brzmi tak: „a symbolic language in terms of which claims to rights and status are expressed”¹⁵. Jest więc sprzeczna z koncepcją Turnera w tym zakresie, że nie odnosi się do sfery sacrum. Wszystko to przytoczyłem w recenzji, która jest dostępna w Internecie i każdy może się z nią zapoznać. Faktem jest, że odpowiedź Kasperskiego jest kuriozalna tak jeśli chodzi o styl, jak i o treść. Dość to ewidentne i nie potrzebuje komentarzy.

Kolejny zarzut (pomijam drobniejsze) Wernera i Kasperskiego brzmi w wersji Wernera:

- Skibiński czyni zarzut z faktu, że Kasperski nie zna literatury przedmiotu dotyczącej mitów w społecznościach plemiennych, tyle że Kasperski, jak sam twierdzi, mitami w tym kontekście się nie zajmuje. Dlaczego zatem miałby nawiązywać do literatury, którą uważa w swoich badaniach za niepotrzebną (a którą skądinąd zna)? (s. 458).

¹³ KASPERSKI 2020, s. 199.

¹⁴ SKIBIŃSKI 2020, s. 160.

¹⁵ SKIBIŃSKI 2020, s. 158 (cytat z pracy Kasperskiego).

Przytoczmy zatem fragment mojej recenzji książki Kasperskiego:

Warto poświęcić kilka słów również afrykanistycznym argumentacjom R. Kasperskiego. W konkluzji swojej pracy pisze on tak o poglądach R. Wenskusa: „Według tego badacza Goci nie mogliby funkcjonować jako etnos bez własnej mitologii i origines takich jak opowieść o wędrowce ze Skandzy. Teza ta przyjęta została przez wielu późniejszych badaczy i do dziś jest bezrefleksyjnie powtarzana. Nie mając dobrego rozeznania w literaturze etnograficznej, Wenskus *mógł wysunąć taki wniosek. [...] Jednakże badania antropologów i etnologów pokazują, że wiele grup etnicznych nie posiada mitów. Ludy Bantu nie mają rozbudowanej mitologii, Kimbundu z Angoli nie posiadają w ogóle żadnych mitów, Ndembu z Zambii mają ich niewiele, a większość grup Bantu nie posiada opowieści o pochodzeniu z jakiejś praojczyzny. Każde z nich jednak istnieje jako grupa etniczna. Ludy nie muszą mieć mitów – czy mitów o pochodzeniu – żeby istnieć.*

Pomysł, że Germanie nie posiadali własnej mitologii wypada uznać za oryginalny. Po wielu pracach na temat mitologii indoeuropejczyków udało się autorowi powrócić do początków. Odrzucenie jednak tych badań zdaje się być nieświadome. Problematyka wierzeń i mitów ludów Afryki jest zajęciem wymagającym specjalistycznego przygotowania. Jeśli się takiego nie posiada, wypada się zapoznać ze stanem badań lub choćby z ostatnimi pracami. Też o tym, że Kimbundu z Angoli nie posiadają żadnych mitów oparł R. Kasperski na pracy W. Bascom, *The forms of Folklore. Prose narratives*, jak podaje w przypisie na s. 21. Zajrzyjmy więc na tę stronę. Pisze tam W. Bascom o Kimbundu tak: „The Kimbundu of Angola also distinguish true and fictional tales, but Chatelain’s evidence suggests that they have no myths. This would be a remarkable fact, if true, and it would make Kimbundu categories far less applicable to African folklore than he believes. According to Chatelain the Kimbundu distinguish three categories of prose narratives: folktales and two types of legends. One class of legends (maka) is that of true stories, or rather stories reputed true; what we call anecdotes [...]. The second class of legends (ma-lunda or mi-sendu) are historical narratives. They are the chronicles of the tribe and nation, carefully preserved and transmitted by the head men or elders of each political unit, whose origin, constitution, and vicissitudes they relate. The ma-lunda are generally considered state secrets, and the plebeians get only a few scraps from the sacred treasure of the ruling class”. Wspomniany w tekście Chatelain to Heli Chatelain, a opis typów legend został przejęty z jego pracy *Folk – Tales of Angola* („Memoirs of the American Folklore Society”, I, 1894, s. 21)¹⁶.

Skracając już, krytyka poglądów Kasperskiego na temat polemiki Jordanesa z Prokopiuszem z Cezarei została potwierdzona przez badaczy zajmujących się tymi problemami.

Kasperski oparł swoją pracę o ramę teoretyczną, która jest chybiona. Jego konstrukcje teoretyczne nie wytrzymują krytyki – nie będę się tu tym zajmował. Pisałem o tym w recenzji. Podsumowaniem niech będzie Jego uwaga o Mioletinskim:

¹⁶ SKIBIŃSKI 2020, s. 158–159.

„Na koniec skomentuję zarzut o braku w mojej pracy odwołań do dzieł E. Mielecinskiego. Otóż zajmował się on eposem, mitem jako formą narracji w społeczeństwach plemiennych i bajką, a przecież ja zajmuję się mitem jako formą ideologii”¹⁷. Może warto jednak sięgnąć do *Poetyki mitu* tego autora¹⁸?

Moje uwagi na temat korzystania z przekładów zamiast z oryginałów wskazywały na ograniczenia koncepcji Kasperskiego. Brak analiz tekstów źródeł i wątpliwe konstrukcje teoretyczne to zasadnicze wady jego książki.

Następne punkty oskarżenia sformułowanego przez Wernera dotyczą mojej polemiki z Tomaszem Jurkiem. Recenzja jego książki, jego odpowiedź na nią i moja replika są dostępne w Internecie dla ciekawych. Przedstawię jednak oskarżenie Wernera:

W swojej, znacznie bardziej lakonicznej niż rozległa polemika Kasperskiego, odpowiedzi wykazuje, że Skibiński niezgodnie z prawdą sugeruje jakoby dokonał on (Tomasz Jurek) błędnego tłumaczenia fragmentu z kroniki Thietmara, choć T. Jurek tłumaczy (sporny fragment) poprawnie a nawet zgodnie z uwagami Skibińskiego (potwierdzone stosownym cytatem). Dlaczego zatem Skibiński sugeruje T. Jurkowi potknięcia warsztatowe, których ten w istocie nie popełnił pozostaje tajemnicą Skibińskiego, choć my możemy zauważyć, że jest to praktyka zgodna z generalną metodyką recenzowania poznańskiego *źródłoznawcy* (s. 458).

Zatrzymam się tylko nad sprawą tłumaczenia. Po pierwsze w tekście T. Jurek omawia tekst Thietmara, a nie tłumaczy go. Przyjmuje w tym objaśnieniu interpretację, z którą polemizuję. Nie kwestionuję w żadnym razie tłumaczenia T. Jurka, bo go tu nie ma. W polemice objaśniłem to tak:

Następny punkt mojej recenzji, do którego ustosunkował się T. Jurek, uzyskał taki komentarz tego uczonego: „Najważniejsze jednak, że z korekty tej (językowo trafnej) nic absolutnie nie wynika. Przyjęcie, że do biskupów składających obediencję arcybiskupowi magdeburskiemu dodany został także biskup brandenburski Thietmar i poznański Jordan, nie zmienia przecież w niczym wymowy tej informacji, że dwaj ostatni też taką obediencję złożyli. E. Skibiński upiera się, że osobno dodani biskupi występują tu w jakimś innym charakterze, np. byli tylko obecni na uroczystościach w Magdeburgu, ale to właśnie nie dałoby się nijak pogodzić z poprawionym tłumaczeniem” [Jurek 2020: 256]. Fragment Thietmara, który próbowałem interpretować jest następujący: „omnes hos subieccionem sibi suisque promittentes successoribus, disposita singulis quibusque parrochia speciali. Additus est his confratribus Brandeburgiensi aeccliesiae I. pastor Thiethmarus ante hos unctus et Jordan episcopus Posnaniensis” [Kronika Thietmara: 73].

Każdy zatem z biskupów wcześniej wymienionych obiecał posłuszeństwo i otrzymał diecezję. Trzej ostatni wymienieni biskupi nie otrzymali diecezji i nie obiecali posłuszeństwa. Chodzi tu tylko o analizę źródła i interesującą przecież

¹⁷ KASPERSKI 2020, s. 201.

¹⁸ MIELETINSKI 1981.

obecność Jordana na tej uroczystości. Jest to biskup znany jakoś Thietmarowi z opowieści, których część zapewne przemilczał¹⁹.

Kolejne zarzuty przejął Werner z recenzji Przemysława Wiszewskiego. Nie zna jednak mojej odpowiedzi i nie będę męczył czytelnika tematyką nie mającą nic wspólnego z podręcznikiem, którego Werner jest współautorem i który ośmieliłem się skrytykować. Werner mógł wystąpić z polemiką w każdym innym momencie. Obecnie jest to próba zatuszowania własnych błędów. Dla pełności trzeba by dołączyć kolejne polemiki, które prowadziłem z innymi uczonymi np. z Dariuszem Sikorskim. Fachowcy na ogół dyskutują dosyć ostro, gdy tematyka jest dla nich ważna. Zwykle jednak nie przekłada się to na obelgi i nie utrudnia dalszej współpracy. Teksty historyków wymagają za każdym razem właściwych kompetencji do ich oceny. Jest to, jak widać, problem teoretyków historii.

Kolejna odpowiedź, do której winienem się ustosunkować wyszła spod pióra Piotra Kowalewskiego Jahromi. Jest to wypowiedź bardzo się różniąca od poprzednich. Sformułowana według zasad ogólnie przyjętych w dyskusjach. Tym bardziej więc pragnę wyjaśnić pewne nieporozumienia. Autor pisze tak:

Retoryczne sugerowanie przez Edwarda Skibińskiego, że nie należy mnożyć bytów bez potrzeby i w konsekwencji nie ma potrzeby dla metarefleksji w historii wydaje się wątpliwe. Jeżeli całą metodologią historii i teorią historiografii nie ma zdaniem *źródłoznawców* z Poznania żadnego sensu to właściwie po co marnować czas na zapoznanie się z nią i pisanie zjadliwych krytyk? (s. 466)

Tytuł mojej recenzji nie odnosił się do metodologii historii jako całości, czy jako pewnego dyskursu. Dotyczył pojęć. Otóż wprowadzanie wielu pojęć bez ich uzgodnienia ze sobą w podręczniku akademickim jest błędem. *Praeter necessitatem* oznacza „ponad konieczność”, a zatem nie implikuje totalnego zniszczenia metodologii. Gdyby tak było to jako Pseudo-Katon i eunuch wybrałbym inny tytuł – *ceterum censeo methodologiam historiae delendam esse*.

Kolejną wątpliwość wobec moich uwag do jego tekstu sformułował Autor tak:

Większość tych uwag profesora Skibińskiego może być jednak skwitowana nieco błahym: „faktycznie można było to inaczej sformułować” lub „może warto byłoby uwzględnić te treści, ale zdecydowałem/zdecydowałam się na inne”. Przykładem może być oskarżenie Skibińskiego o nieuwzględnieniu w moim rozdziale podręcznika (Rozdział 8: „Zagadnienie subiektywizmu i obiektywizmu badań historycznych”) roli retoryki, poza odwołaniem do fikcyjnych przemów w historiografii klasycznej. Nie zależało mi na rozważaniach o retoryce, a jedynie na prostym ukazaniu tej warstwy w tradycyjnej historiografii antycznej (s. 467–468).

Rozumiem ograniczenie do tego aspektu retoryki, jednak ma to swoją literaturę przedmiotu, która prowadzi do innych wniosków. Dodam, że retoryczna teoria *status* jest w tej chwili omawiana w podręcznikach narratologii.

¹⁹ SKIBIŃSKI 2021, s. 261.

Kolejna uwaga Autora dotycząca mojego tekstu brzmi następująco:

Przy okazji przypominam oczywistą kwestię, że wiele użytych w podręczniku określeń ma spełniać właśnie funkcje retoryczne podyktowane celem dydaktycznym i nie zawsze występują one w znaczeniu technicznym. Rozróżnienie tych dwóch elementów oraz czytanie zdań w szerszym kontekście ich użycia jest umiejętnością, której jako autor oczekuję od czytelnika, szczególnie akademickiego. Pozwoliłoby to uniknąć ironizowania z autorów w wielu miejscach, na przykład z przywołania przeze mnie koncepcji myślenia historycznego Sama Weinburga (Rozdział 4: „Myślenie historyczne”), która ma się nijak do rozważań Chladeniusa czy Gatterera z XVIII w. (s. 468)

Uwagi te odnoszą się do tekstu mojej recenzji:

Osiągnięciem omawianych w tej części artykułu teoretyków jest wedle jego autorów koncepcja Sama Weinburga, którą prezentują następująco: „Niewątpliwym osiągnięciem Weinburga jest osadzenie w centrum refleksji nad myśleniem historycznym kategorii źródła (s. 554).

Jest tu pewne nieporozumienie. Dyskutujemy na temat podręcznika. Sposób przedstawiania omawianych autorów stwarza ich dla odbiorcy. Tekst zatem nie powinien się zatrzymywać na takim stwierdzeniu. Stąd moje odwołania do osiemnastowiecznych teoretyków. Podobnie twierdzenie, że „Źródłoznawcy z Poznania krytykują stosowalności koncepcji paradygmatów Thomasa Kuhna dla badań humanistycznych (s. 468)”, jest niezupełnie trafne. Był to pogląd Jerzego Topolskiego, metodologa z Poznania. Podobnie Koncepcje J. Kmity należałoby już zastąpić innymi. Zatem przekonanie, że jestem jego zwolennikiem jest mylne. Nie oznacza to oczywiście, że nie doceniam jego wkładu w humanistykę i w moją formację intelektualną.

Kilka słów poświęcę jeszcze uwagom E. Domańskiej skierowanym do P. Żmudzkiego. Poruszę tu tylko dwa zagadnienia. Zacznę od cytatu z tekstu odpowiedzi E. Domańskiej:

Sama idea czy i jak w danym momencie tworzona przez akademików wiedza powinna być społecznie użyteczna jest wynikiem zachodzących w świecie zmian i problemów z którymi się aktualnie boryka. Rzecz jasna nie każdy historyk musi być (i chcieć być) zaangażowany w rozwiązywanie aktualnych problemów (społecznych, politycznych, ekologicznych i innych). Można ponadto postawić pytanie, co znaczy bycie użytecznym dla społeczeństwa? Czy historia ma stać się „nauką stosowaną”? Czy jej wartość ma się mierzyć efektywnością wywoływanych zmian? Jakie są zagrożenia takiego sposobu myślenia widać w instrumentalizacji wiedzy historycznej dla prowadzenia polityki (nie od dzisiaj oczywiście) (s. 478)

Kategoria użyteczności całkowicie niszczy koncepcje wiedzy jako poznania. Stoi za tym oczywiście jedenasta teza o Feuerbachu Karola Marksa: „Filozofowie dotychczas tylko interpretowali świat, chodzi jednak o to, aby go zmieniać”. Nie

chodzi o to, że świat nie ma być zmieniany, lecz tylko o to, że nie powinni tego robić filozofowie.

Przy tym tonie jaki narzucili mi moi polemici, muszę zaraz podkreślić, że nie mam obsesji antymarksistowskich. Badania historyczne są wystarczającym celem działań historyka, jako historyka. Nie musi on zastępować pisarza (choć pewnie niejeden z nas zazdrości pisarzom sławy i czytelników), ani polityka. Podobnie grupy rekonstrukcyjne mają swoich specjalistów. Historyk może i pewnie powinien być ich konsultantem, a jeżeli sam wchodzi do takiej grupy to tylko jako uczestnik, nie zaś jako historyk. Kompetencje historyka się na tym kończą. Kategoria użyteczności nie może być kluczowa nie tylko w badaniach humanistycznych. Przejęcie się problemem zaczyna się od rozpoznania, następnym krokiem jest badanie. Historyczka, historyk to są ci, którzy poprzez badanie źródeł próbują się czegoś dowiedzieć o przeszłości. Jeśli zastosujemy tu kryterium użyteczności, to następnym krokiem będzie cenzura wobec nieużytecznych tematów (uwaga – nie twierdzę, że Domańska stawia takie tezy, lecz jedynie, że do tego te tezy prowadzą). Kategoria użyteczności jako centralne pojęcie zamienia kulturę w firmę, w której mierzy się naszą jakością użytecznością. To już się dzieje. Ja przed tym jedynie przestrzegam. Poza oczywistym argumentem, opartym na rozróżnieniu kultura – rynek, jest jeszcze jeden ważny powód. My nie wiemy, co jest użyteczne, nie znamy przyszłości. Większość naszych osiągnięć zaczynało się jako niepotrzebne pytania. Sokrates musiał wypić cykutę, bo okazało się, że był niepotrzebny.

Ucieczkę od badań historycznych proponuje Domańska przedstawiając Żmudzkemu taką oto metodologię:

Metodologia: Badania ilościowe i jakościowe (analiza źródeł historycznych i literackich, **badania terenowe, wywiady, obserwacja uczestnicząca, ankiety**). Studia przypadków – analiza konkretnych postaci rycerzy (Zawisza Czarny) – ich biografii naukowych i legend oraz ich wpływu na kształtowanie się i trwanie wartości rycerskich w Polsce. Zastosowana zostanie także analiza *big data* i *różne metody wizualizacji danych*, **analiza stron internetowych, mediów społecznościowych, gier komputerowych (metoda narratologiczna; analiza zawartości wybranych gier – mechaniki i estetyki)** i ich **potencjalnego wpływu na postrzeganie rycerstwa oraz badania wykorzystania różnych mediów w celu promowania pozytywnych aspektów idei rycerstwa** (s. 480–481, podkr. E.S.).

Autorka daje tu praktyczne objaśnienie, jakie pole badawcze ma metodologia. Warto się zastanowić jakie kompetencje musiałby mieć ktoś, kto tego rodzaju badania miałby przeprowadzić. Oczywiście nie chodzi mi o amatorstwo, tylko o kompetencje zawodowe. Specjalizacja w określonym rodzaju badań historycznych nie jest zadaniem łatwym. Historia gospodarcza, literacka, kultury, Mezopotamii, antycznej Grecji i Rzymu itd., to wiele dziedzin badawczych, w których nawet amatorstwo wymaga odpowiedniego przygotowania. Oczywiście Domańska stawia pewne ramy tak szerokim pomysłem, pisze bowiem:

Zamarkowany wyżej projekt z założenia jest interdyscyplinarny i grupowy. Rola historyka jest tutaj fundamentalna **nie tylko jako dostarczyciela faktów i gwaranta ich właściwych interpretacji (tj. opartych na badaniach naukowych)**, lecz także jako krytycznego intelektualisty i zaangażowanego we wspieranie społecznej sprawczości obywatela zainteresowanego budowaniem transtemporalnego pomostu pomiędzy przeszłością, współczesnością i przyszłością. Historyk jest tu także niezbędny, by ujawniać **mitologizacje wizerunku rycerstwa (i konkretnych rycerzy) i dokonać ich problematyzacji**. Istnieje także potrzeba wypracowania **nowej, odpowiadającej obecnym realiom figuracji rycerza/rycerki** i to nie „komiksowej”, ale zakorzenionej w realiach przeszłości (s. 482, podkr. E.S.).

Historyk, historyczka mogą odpowiadać na te pytania, wtedy kiedy one się pojawiają, wtedy kiedy kultura będzie miała wysoką rangę jako kultura właśnie, kiedy zabytki będą ważne nie tylko ze względu na własną użyteczność, a dzieła kultury będą wartościowe bez względu na przydatność polityczną.

Kolejny problem dotyczy międzygatunkowego współautorstwa. Przytoczmy fragment tekstu Domańskiej, który jest podstawą jej dyskusji ze Żmudzkim:

Czy możemy wyobrazić sobie wiedzę o przeszłości opartą na międzygatunkowym współautorstwie? Pytanie to może wydawać się absurdalne, ale nie dla prymatologów (zoolodzy zajmujący się ssakami naczelnymi), takich jak Sue Savage-Rumbaugh, która we **współautorstwie** z trzema szympanсами opublikowała artykuł w czasopiśmie naukowym na temat życia w zamknięciu (s. 483–484, podkr. E.S.).

Oczywiście nie kwestionuję tu możliwości komunikowania się z np. szympanсами, ptakami, delfinami itd. Są interesujące badania na ten temat. Chodzi o coś innego. Nie ma mowy o współautorstwie z kimś, kto autorem nie jest, bo po pierwsze nie umie pisać, a po drugie nie wie, czym jest nauka i naukowy artykuł. Możemy mówić o pozyskiwaniu informacji, może nawet o dialogu itd.

Kolejny tekst, do którego się odniosę został napisany przez Annę Brzezińską. Kilka uwag Autorka poświęciła mojej recenzji, a właściwie innym tekstom:

Nie zachodzi tu żadna wzajemna sprzeczność, którą – mam wrażenie bez chęci zrozumienia sensu wypowiedzi autora – Edward Skibiński implikował we wspomnianym tekście Andrzejowi Nowakowi, jakoby „zasoby internetowe wykluczały stosowanie źródeł nieznajdujących się w Internecie (s. 517).

Ponownie podkreślam, chodziło mi tylko o formułę wypowiedzi A. Nowaka, a nie o jego poglądy. Jego wypowiedź we fragmencie, do którego się odniosłem brzmiała tak: „Dzisiaj nie musimy już poszukiwać źródeł archiwalnych, aby odtworzyć na przykład przebieg manifestacji ulicznej z 2004 r.” Chodzi tu jednak o mój stary tekst o krytyce historycznej. Autorka proponuje wniosek sformułowany po łacinie: „Z tego właśnie powodu *entia multiplicentur sicut necesse est*” (s. 518). Propozycja Autorki nawiązuje do tytułu mojej recenzji – *entia non sunt*

multiplicanda praeter necessitatem. *Necessitas* to jest właśnie owo *necesse est* – jesteśmy zatem zgodni. Cieszę się.

Kolejną odpowiedź na moją recenzję przedstawił Jakub Muchowski. Odniesienie się do mojego tekstu i konkretnych argumentów zaczął w ten sposób:

Nie twierdząc, jak zdaje się sugerować Skibiński, że krytyka zewnętrzna i wewnętrzna to jedyna metoda, nazywam ją podstawową, a więc główną, zasadniczą, co jak sądzę, odpowiada konsensusowi na temat tego, czym był i jest historyzm. Nie opisałem innych składowych procesu badawczego w historyzmie, gdyż nie dostrzegam w nich cech, które mogły definiować tożsamość historii jako odrębnej dyscypliny (s. 529).

Teza jest błędna, są na ten temat opracowania, sam też o tym pisałem. Gdyby jednak tak było jak Muchowski pisze, to do dzisiaj historyzm byłby podstawową koncepcją historii. Tak nie jest. Obie krytyki odnoszą się do źródła historycznego – jego autentyczności i wiarygodności – historyzm zaczyna się piętro wyżej. Należy pamiętać, że celowo ograniczyłem się tylko do argumentów Muchowskiego. Nie ja pisałem podręcznik. Nie jest zadaniem recenzenta proponowanie nowych ujęć. Zastanowię się jednak nad wyrażoną przez Muchowskiego propozycją. Ograniczenie językowe jest jedną z podstawowych wad tego podręcznika. Historyk musi odpowiadać na wyzwania współczesności – nie może pomijać swojego kręgu kulturowego.

Ostatnia wypowiedź została sformułowana przez Macieja Bugajewskiego. Jest ona poświęcona wyłącznie mojej recenzji, więc wpisuje się w kontekst poprzednich, choć zachowuje zwyczajowe formy, których w większości wcześniejszych tekstów brak. Autor argumentuje następująco:

Z niektórymi z tych opinii chętnie wyraziłbym solidarność, a tym samym poparcie dla nich, gdyby nie to, że stały się one składowymi recenzenckiego dyskursu świadczącego o niezrozumieniu lub (co gorsza) nieuwzględnieniu charakteru i struktury podręcznika, a także wyrażającego w zastępczej formie, recenzji właśnie, lęki, obawy i poczucie zagrożenia „odczuwane” przez Autora recenzji odnośnie przyszłości nauki historycznej, w sposób nieuzasadniony odnoszone do aktualnego dorobku metodologii historii (s. 533).

Nie da się wywnioskować z tej troski o stan mojej psychiki niczego bardziej konkretnego. Na podstawie czego zostały sformułowane te argumenty nie potrafię odpowiedzieć. Mamy tu jednak ciekawy zabieg retoryczny. Autor właściwie przyznaje mi rację merytoryczną, przynajmniej w pewnych przypadkach, jednak krytykuje za niezrozumienie/nieuwzględnienie charakteru podręcznika. Nie taki był cel mojej recenzji. Zastanowię się jednak nad tą sugestią.

Z kolei Autor wypowiada się w sprawie moich uwag o rozdziale w podręczniku pióra W. Wernera:

Skibiński bezzasadnie krytykuje na przykład Wiktora Wernera, że w jednym z napisanych przez niego rozdziałów zabrakło pojęcia rewolucji: „Wśród

mitów jako pewnych konstrukcji, przy pomocy których ujmujemy zmieniającą się rzeczywistość, *zabrakło „rewolucji”*, mimo że jest to pojęcie dla autorów podręcznika istotne (rewolucja naukowa) – **a może właśnie dlatego (treści wyparte?)** (podkreślenie moje – M.B.) (s. 535).

Mój tekst dalej brzmiał tak: „Jest to jednak tym dziwniejsze, że koncepcję tę znajdujemy już u Sartre’a. To właśnie rewolucja miała zburzyć stary świat i na jego gruzach zbudować nowy (nowy paradygmat)”. Bugajewski odwołuje się tu do mojego komentarza do rozdziału autorstwa W. Wernera: „Historiografia jako mit i nosiciel mitu”. W tym rozdziale Autor wydzielił część zatytułowaną: „Historyk – konstruktor i rekonstruktor narodowego mitu”. Wskazał tam na historyków walczących z imperialnymi, ponadnarodowymi państwami – jako na konstruktorów mitu narodowego – Palackiego, Lelewela, Hruszewskiego. Pomijanie roli, np. Rosji i ujmowanie prac tych historyków jako tworzenie mitologii nie wydaje się trafione. Autor w ten sposób pozbawia ich prace właściwego kontekstu historycznego. Ten kontekst dopiero pokazuje, że była to historiografia ratownicza dla narodów postawionych w stan likwidacji. Polska w czasach Lelewela nie była imperium, a on nie tworzył podstaw ideologii dla zaborczych wojen.

Odnosząc się do dalszych argumentów, krytyka obiektywistycznego modelu poznania nie może być przeprowadzana w powietrzu. Dalej Bugajewski przypisuje mi antyrewolucyjne stanowisko, co jest bezzasadne. Teoretyk jednak powinien rozważać implikacje swoich tez. Powinien też być świadom własnego stanowiska. Pojęcie rewolucji naukowej jest używane u nas przeważnie pozytywnie, podobnie jak rewolucji amerykańskiej czy brytyjskiej rewolucji przemysłowej. Jednak podręcznik metodologii powinien zachęcać w każdym wypadku do refleksji nad tymi pojęciami i kwestionowania ich. Tego w nim nie znalazłem w takim zakresie, w jakim poddałem go ocenie. Bugajewski nie zrozumiał mojego tekstu. Pretensja spowodowana krytycznymi uwagami przesłoniła mu ich sens. Bugajewski imputuje mi jakieś antyrewolucyjne stanowisko. Takiego jednak nie reprezentuję. Natomiast moja recenzja wyraża jeszcze jedną obawę. Pisanie takich tekstów bez podjęcia perspektywy naszego miejsca w przestrzeni kulturowej nie jest dobrym pomysłem. O nacjonalizmie wspomnianych wyżej historyków piszą zapewne szerzej Rosjanie, zgodnie ze swoją polityką historyczną. Krytyka mitów mogłaby uczyć większej dyscypliny przy używaniu własnego aparatu pojęciowego.

Podsumowując. Żeby wziąć udział w dyskusji trzeba przeczytać dyskutowane teksty. Próby przeniesienia sporu na inne tematy należą do chwytów sztuki erystycznej, dobrze opisanej w literaturze przedmiotu. Pisząc swoją recenzję nie miałem innego celu niż ocenę podręcznika – jego konstrukcji i propozycji teoretycznych. W tekstach poddanych analizie znalazłem sporo błędów, nieporozumień, sprzeczności. Książka moim zdaniem w tej formie nie spełnia wymagań stawianych podręcznikom.

Słabość kontrargumentów budzi wiele obaw. Krótka odpowiedź z podziękowaniem za wskazanie błędów i polemiką ze stanowiskami, z którymi Autorzy się nie

zgadzają wystarczyłaby. Autorzy wybrali inną formę. Szczególny atak skierowano na mnie i na to, co robię, a zatem nie na moje argumenty. Widać tu zupełny brak orientacji w mediewistyce i próbę wykorzystania naukowych sporów dla własnych, doraźnych interesów.

Autorzy tych pomysłów liczyli zapewne, że dyskusja przeniesie się na inne pola. Pisałem swoją recenzję w przekonaniu, że każdy Czytelnik publikacji akademickiej ma prawo powiedzieć – sprawdzam.

ŹRÓDA DRUKOWANE I LITERATURA PRZEDMIOTU:

- ARENDRT 1992 = Hannah Arendt, Karl Jaspers, *Correspondence 1932–1969*, ed. Lotte Kohler and Hans Sander, New York 1992
- DOMAŃSKA 1998 = Ewa Domańska, *Encounters: Philosophy of History after Postmodernism*, Charlottesville 1998
- Gramatyka 1998* = *Gramatyka współczesnego języka polskiego. Morfologia II*, red. R. Grzegorzycowa, R. Laskowski, H. Wróbel, Warszawa 1998
- HILL 2021 = Samantha Rose Hill, *Hannah Arendt*, London 2021
- KASPERSKI 2020 = Robert Kasperski, *W odpowiedzi na artykuł recenzyjny Edwarda Skibińskiego na temat książki Reges et gentes. Studia nad dyskursem legitymizującym władzę nad wspólnotami wyobrażonymi oraz strategiami ich konstruowania we wczesnym średniowieczu (VI–VII w.)*, „Przegląd Historyczny”, CXI, 2020, 1, s. 177–205
- MARKIEWICZ 1983 = Henryk Markiewicz, *O interpretacji semantycznej utworów literackich*, „Pamiętnik Literacki”, LXXIV, 1983, s. 115–131
- MIELETINSKI 1981 = Eleazar Mioletinski, *Poetyka mitu*, przeł. Józef Dancygier, Warszawa 1981
- PAC 2015 = Grzegorz Pac, *Napiszmy lepszą książkę o Mieszku I*, „Kwartalnik Historyczny”, CXXII, 2015, 3, s. 539–551
- SKIBIŃSKI 2020 = Edward Skibiński, „Przegląd Historyczny”, CXI, 2020, 1, s. 153–176
- SKIBIŃSKI 2021 = Edward Skibiński, *Metodyka czy retoryka*, „Studia Lednickie”, XX, 2021, s. 257–266

Na tym zamykamy dyskusję nad tomem *Wprowadzenie do metodologii historii* (red. Ewa Domańska, Jan Pomorski, Warszawa 2022) na łamach „Przeglądu Historycznego”.